

Neofaszyzm – powiedz „nie”!

LEON CHĘĆ

Jestem wielokrotnie odznaczonym żołnierzem Armii Krajowej, który spędził najlepsze lata swojej młodości na walce z faszyzmem. Mogę powiedzieć, iż stałem z faszyzmem oko w oko.

Z tego powodu przerażające jest dla mnie to, kiedy widzę, że ta ideologia nie umarła, że powoli odradza się ponownie w naszym kraju. Boli mnie to, iż ja sam narażałem życie w obronie wolności i demokracji dla siebie i przyszłych pokoleń, a teraz te „przyszłe pokolenia” atakują mnie, starego, wolnego człowieka, ze względu na moje przekonania religijne, używając tych samych metod co hitlerowskie bojówki.

Uważam, że jeśli nie powiemy teraz „nie” tym wszystkim upodabniającym się do faszystów ruchom – za jakiś czas może być za późno.

Urodziłem się w Starym Samborze koło Lwowa 12 października 1919 roku. Moja rodzina nie należała do bogatych. Nie było stać na to, żebym mógł uczyć się w gimnazjum, dlatego po ukończeniu szkoły podstawowej sam uczyłem się od kolegów, którzy do gimnazjum chodzili.

W 1938 roku wstąpiłem do Obrony Narodowej w Starym Samborze. 15 sierpnia 1939 r. dostaliśmy broń i pomaszzerowaliśmy na granicę węgierską zająć stanowiska obronne przed ewentualnym atakiem Niemców. Zostaliśmy wtedy włączeni do Dywizji Karpackiej. Miesiąc później przeszedłem chrzest bojowy. Kiedy wróciliśmy do Starego Sambora, starliśmy się z Niemcami dobrze uzbrojonymi w karabiny i broń artyleryjską. Po czterogodzinnej nierównej walce dostaliśmy rozkaz wycofania się.

Do 1941 roku rozprawadzałem pisma konspiracyjne na terenie Starego Sambora. W 1942 znajomy, który dostarczał mi te pisma,

poznał mnie z człowiekiem, dla którego zrobiłem pierwszy meldunek o sytuacji i postępowaniu ukraińskich nacjonalistów. Człowiek ten był bardzo zadowolony z mojej pracy. 5 stycznia, tj. wtedy gdy przyniosłem mu meldunek, wyjął obrazek Matki Boskiej, kazał położyć dwa palce prawej ręki na obrazek i powtarzać słowa przysięgi. Powiedział mi, że od tej pory jestem żołnierzem polskich sił zbrojnych i nie wolno mi się spotykać z chłopcami, których organizowałem wcześniej ani niczego robić na swoją rękę tylko według instrukcji. Wręczył mi plik papierów, których treści miałem się nauczyć na pamięć, a papiery zniszczyć. Były to informacje dotyczące organizacji armii niemieckiej, wszystkich rodzajów broni włącznie z marynarką.

Moim stałym zadaniem było informować o ruchach niemieckich jednostek w szczegółach: o której godzinie przybyła, skąd, dokąd odjechali, jaki rodzaj wojska, jak byli uzbrojeni, ilu było dowódców



Leon Chęć ps. Sewer, Magik

i jakiej rangi, ich nazwiska, adresy ich rodzin, a także nastrój jaki panował wśród żołnierzy. Takie meldunki składałem dwa razy w tygodniu. Musiałem także rozpracować to, czy Ukraińcy organizują się, czy mają broń, ustalić ich adresy i nazwiska, czy mają oddziały leśne, nazwiska dowódców, nazwiska osób sporządzających listy osób przeznaczonych do wywozu na roboty do Niemiec i do obozu zagłady w Majdanku. Składałem także meldunki o sytuacji gospodarczej przyłwowskich terenów.

Po złożeniu meldunku, że Niemcy instalują na wzgórzu Starego Sambora obserwatorium przeciwlotnicze, dostałem rozkaz zlokalizowania wszystkich takich obserwatoriów w okolicy, dokonania opisów i szkiców miejscowości, adresów domów, w których kwatrują Niemcy, zlokalizować linie telegraficzne biegnące do obserwatoriów, ocenić ilu jest żołnierzy, jakim sprzętem się posługują, jakie sygnały ostrzegawcze przed nadlatującymi samolotami angielskimi i radzieckimi nadają, dokąd je nadają, jakim szyfrem, no i rozpracować szyfr. Informacje te zdobywałem przez dziewczęta znające niemiecki, a także przez moją mamę.

Pewnego razu, gdy przenieśli obserwatorium na przeciwną górę, pod pozorem zbierania drewna na opał sam poszedłem na miejsce byłego obserwatorium. Udawałem, że odpoczywam i robiłem rozpoznanie w sytuacji. Zaglądnąłem do latryny i zobaczyłem dużo kartek wyrwanych z notesu, których używali zamiast papieru toaletowego. Zabrałem te kartki do domu. Oczyszcziłem, wysuszyłem, okazało się, że na tych kartkach zapisany był dokładnie cały szyfr oraz opis aparatu podsłuchowego, jego budowa oraz miejsca, dokąd te informacje były nadawane.

W połowie kwietnia 1943 roku miałem meldunek z ogromnym pakietem informacji o ruchach wojsk niemieckich i oddziałów ukraińskich. Miałem go przekazać swojemu szefowi, który przebywał w Nowym Samborze. Gdy wchodziłem do wagonu, zatrzymało mnie dwóch policjantów ukraińskich i zapytali, dokąd się udaję. Odpowiedziałem, że do nadleśnictwa w Samborze. Kazali mi iść z nimi na komisariat. Niewiele myśląc zerwałem się do ucieczki. Przecież miałem przy sobie meldunek. Niestety, okazało się, że policjantów było więcej. Złapali mnie, wykręcili ręce i zaprowadzili na komisariat. Tam puścili mi ręce, a ja wtedy szybko wyciągnąłem meldunek z kieszeni i włożyłem do ust. Były to dwie bibułki A4 gęsto zapisane. Policjanci i żołnierze Wehrmachtu zaczęli mnie bić, krzyżeć: *Bić po głowie, po karku, żeby stracił przytomność!* Było ich chyba z 10 i pies.

Nie wiem, skąd miałem tyle siły, ale oni nie mogli poradzić sobie ze mną. Wodziłem nimi po całym korytarzu. Na moje nieszczęście, meldunek utknął mi w gardle. Nie mogłem go połknąć. Gdy zaczęło mi ciemnieć w oczach, wyksztusiłem z siebie meldunek i kuglarską metodą oszukałem ich, że znów połkam papier, gdy w rzeczywistości włożyłem go do kieszeni. Ślaniałem się już na nogach. Policjanci myśląc, że zjadłem meldunek zaprosili mnie do pokoju. Tam jeden z nich zrewidował mi kieszenie i znalazł bibułki. Ponieważ wiedział, że mam błędny wzrok i ślaniałem się – nie bał się mnie i przy mnie rozwinął te bibułki. Zaczął czytać. Wtedy ja błyskawicznie wyrwałem mu je, włożyłem do ust, a że stałem obok fotela, wsadziłem głowę w fotel, szczerpiłem ręce za oparciem tak mocno, że dostałem skurczu mięśni i starałem się połknąć papier. Oczywiście policjanci wpadli w szal. Tłukli mnie do krwi, ale by-

łem taki spięty, że nawet nie czułem tych uderzeń. Gdy już połknąłem meldunek, nie mogłem rozpleść rąk, a całe ciało miałem sztywnie jak kość. Gdy uświadomiłem sobie, że połknąłem meldunek – ciało się rozluźniło. Mogłem wstać, byłem bardzo spokojny. Powiedziałem: *Teraz możecie pocałować mnie w d...* Wtedy jeden z nich uderzył mnie tak mocno, że pociemniało mi w oczach i natychmiast uciekł do drugiego pokoju zamykając za sobą drzwi. Bał się, że mu oddam. Wsadzili mnie do piwnicy. Tam zorientowałem się, że nie słyszę na lewe ucho. Lewą stronę głowy miałem mokrą od krwi. Nie mogłem uciec, bo okno było zakratowane. Wymyśliłem, że ucieknę przez ubikację. Ręce miałem związane tańcuchami. Chciałem udusić strażnika i uciec przez okno w WC, ale niestety poszło ze mną trzech. Nawet spodnie mi rozpinali oni.

Potem przewieźli mnie na **Gestapo**. Siedziałem w izolatce. Po tygodniu strażnik przyniósł mi bochenek chleba, a w środku był gryps informujący mnie, że czynione są starania uwolnienia mnie. Potem jeszcze dwa razy dostawałem takie grypsy. Po kilku miesiącach wezwano mnie na przesłuchanie i zapytano, za co zostałem uwięziony. Odpowiedziałem, że za to, że jestem Polakiem. Zwolnili mnie. W jednym z grypsów był podany adres, pod który miałem się udać po zwolnieniu. Okazało się, że wykupiła mnie AK, chociaż oficjalnie podawali się za moją rodzinę. Mój dowódca zapytał, czy chcę iść do oddziału dywersyjnego, czy leśnego. Wybrałem ten pierwszy.

Czekałem dwa tygodnie. Okazało się, że oddział dywersyjny jest „spalony”. Przyłączyłem się więc do leśnego. Zawiózł mnie tam nieznan mi przewodnik. Rozdzielaliśmy broń pochodzącą ze zrzutów samolotowych, minowaliśmy szyny kolejowe, kradliśmy bydło z niemieckich majątków, patrolowaliśmy las i broniliśmy polskich wsi przed mordowaniem mieszkańców przez banderowców.

Pewnego razu, już w 1944, będąc na jednym z takich patroli zauważyliśmy niemieckich żołnierzy pędzących bydło. Broń mieli złożoną na furmance. Wyskoczyliśmy z zarośli. Niemcy nie mieli szans. Zabraliśmy im broń, a ich odstawiliśmy do wioski, gdzie kwatrowali żołnierze radzieccy. Wracając już do naszego postoju spotkaliśmy jeszcze jednego Niemca na motorze. Zaczęliśmy strzelać do niego. Został lekko ranny i uciekł. Po powrocie do bazy dowiedzieliśmy się, że Niemcy podchodzą pod las. Komendant wysłał zwiadowców, ale byli nieostrożni... Jeden z nich zginął, drugi został ranny. Nasz komendant nawiązał kontakt z Armią Radziecką w celu wspólnej obrony miasta. Gdy wmaszerowaliśmy, mnóstwo młodych chłopaków prosiło o wcielenie w nasze szeregi. Zajęliśmy stanowiska wzdłuż torów kolejowych i mieliśmy miasto przed sobą. Czekaliśmy aż Niemcy będą przebiegać przez tory. To było takie polowanie. Przebiegali pojedynczo. Ta zabawa nie trwała długo. Zostałem ranny w szyję. Kolega owinął mi ją zapasową koszulą i zaprowadził mnie do pobliskiego domu, gdzie opatrzyła mnie gospodyni. W całej potyczce z Niemcami kolejnym zadaniem naszego oddziału było obstawienie jedynej drogi odwrotu dla Niemców. Komendant zapytał czy są ochotnicy. Zgłosiłem się jako pierwszy. Później wystąpiło jeszcze 7 kolegów. Niestety, była to zbyt mała liczba. Musieliśmy zrezygnować z tego zadania.

Jakiś czas później dowiedzieliśmy się, że radzieccy komendanci zaczynają aresztować miejscowych żołnierzy AK.

Gdy przyszedł rozkaz generała Bora dotyczący pomocy warszawskim powstańcom, wyruszyliśmy natychmiast polnymi drogami. Zaszliśmy na Leżańsk. W nocy dowiedzieliśmy się, że żołnierze radzieccy otaczają nas. Część naszych ukryła broń i uciekła. Nam się nie udało. Zostało nas około 100 osób. Aresztowali komendanta, my rozproszyliśmy się.

W moim oddziale byli chłopcy z Warszawy. Postanowili się przedzierać. Przesyłali nam z drogi karteczki z opisem sytuacji. Dowódca naszej grupy postanowił wysłać chłopaków. Na początek poszliśmy ja z kolegą. Na przedmieściach Janowa Lubelskiego zatrzymał nas cywil z czerwoną opaską na rękawie. Zaprowadził nas do domu. Okazało się, że tam mieściła się milicja. Zrewidowali nas. Zabrali nam broń i całą amunicję. Następnego dnia kazali mi rąbać drewno. Wykorzystałem tę sposobność i pooglądałem sobie teren.

W nocy obudziłem kolegę i zaproponowałem mu ucieczkę, ale się bał. Poszedłem sam. Ostrożnie przekroczyłem śpiącego wartownika. Schodziłem na bosaka, po krawędziach schodów, żeby nie skrzypiały. Drzwi były zamknięte. Uciekłem przez okno. Uciekałem boso. Nie chciałem tracić czasu na ubieranie butów. Po kilku kilometrach nogi miałem we krwi, ponieważ popękała mi skóra na podszewkach stóp, a w ranach pełno piachu. Oczyszczyłem to i obwiązałem zapasową koszulą. Szedłem dalej. Gdy dotarłem do Leżańska do znajomego i opowiedziałem mu, co się wydarzyło, powiedział mi, że szedłem bez przerwy 75 km. Po odpoczynku udałem się do Grodziska, gdzie było zgrupowanie oddziałów leśnych. Poinformowałem komendanta o sytuacji, jaka panuje w drodze na Warszawę.

Sam pojechałem do Lwowa. Tam zająłem się drukowaniem fałszywych sowieckich książeczek wojskowych dla Akowców poszukiwanych przez NKWD. Wykonywałem też fałszywe karty ewakuacyjne do Polski. Niektóre z tych dokumentów znajdują się obecnie w muzeach we wszystkich krajach świata. Oryginalna matryca znajduje się w muzeum AK w Krakowie.

W ten sposób działałem do września 1945 roku. Pewnego dnia o świcie NKWD z żołnierzami wyważyli drzwi mojego domu i kazali kłaść się na podłodze mnie i mojej mamie. Zrobili rewizję, ale nic nie znaleźli. Zabrali mnie na komisariat. Siedziałem w pustej celi 2 tygodnie. Spałem na betonie, jadłem raz dziennie – pół litra wodzianki z jednym ziemniakiem i ćwiartką niedopieczonego chleba. Mama przynosiła jedzenie dla mnie, ale NKWD-owcy zjadali wszystko, a ją okłamywali, że ją zjadłem. Mama załatwiła zezwolenie na wyjazd do Polski. Pod tym warunkiem, że w ciągu 24 godzin wyjadę z Ukrainy, wypuścili mnie z więzienia. Na drogę dostałem od mamy bochen chleba i pieczoną kurę od sąsiadki. Pomaszero wałem piechotą w stronę Krakowa.

W Krakowie zapisałem się do Instytutu Sztuk Plastycznych. Byłem bardzo biedny. Jadłem darmowe zupki rozdawane na dworcu, spałem w poczekalni pod ławką przy ścianie na gazetach i papierach, a rano szedłem na zajęcia. Po miesiącu dowiedziałem się, że w Krakowie działa biuro repatriantów, którzy kwaterują ludzi w schronisku. Co 10 dni przedłużałem ten kwaterunek. W jednej sali spali alkoholicy, inwalidzi wojenni i tacy jak ja. Jedliśmy wodziankę i kaszę z robakami. Jedna pielęgniarka dała nam litr tranu do „smarowania” tych zup. Potem zamieszkałem w domu akademickim przy Kanonicznej. Pokoje były nieogrzewane. Koledzy przynosili w teczkach węgiel uzbierany na torach kolejowych. Czasami maszynista sam podrzucał kilka kawałków.

Na zakup materiałów potrzebnych do studiowania zarabiałem dzięki moim umiejętnościom iluzjonistycznym. Wychodziłem z dzwonkiem na ulicę, a jak ludzie zaczęli się zbierać – połykałem płonące pochodnie, robiłem różne sztuczki. Potem chodziłem z tacą od osoby do osoby mówiąc, że jak dadzą grosza, to pokażę coś ciekawszego. Po ukończeniu Instytutu dostałem się do Akademii Sztuk Pięknych.

I tak zostałem artystą.

Zrobiłem dwa kierunki – grafikę i scenografię. Byłem asystentem Andrzeja Pronaszki.

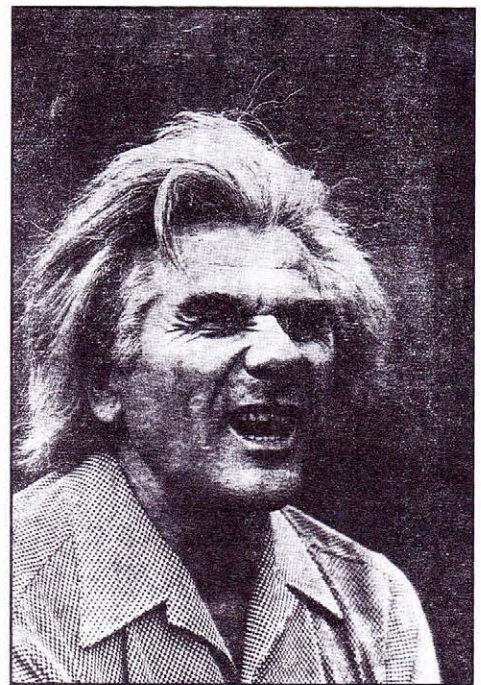
Mam dużo wyróżnień, miałem dużo wystaw, także za granicą (Los Angeles). Moje prace cenione były za nowatorstwo. Teraz robię scenografię i projekty do teatru lalkowego dla dzieci z domów dziecka.

Mam pracownię na ul. Pędzichów i pracuję tam od 38 lat.

Po wojnie miałem więcej czasu, więc bardziej zainteresowałem się religiami wszystkich wyznań. Gdy spotkałem się z religią Waisznawów, bardzo mi się spodobała – chciałem w jakiś sposób być użyteczny i pomocny, chciałem też wykonać jakąś małą służbę dla Boga. Dlatego zapraszałem moich przyjaciół do mojej pracowni, aby móc razem śpiewać Imiona Boga, poczytać z pism świętych czy porozmawiać o Bogu, o miłości do Niego i służbie, jaką można dla Boga uczynić żyjąc w tym świecie. **Liga Republikańska i Młodzież Wszechpolska** dowiedziały się o tym i urządziły pikietę pod kamienicą. Okleili całą ulicę ulotkami, że pod moim adresem mieści się siedziba sekty. Ulotki przestrzegały lokatorów przed bardzo

niebezpiecznym sąsiadem, czyli przede mną. Następnym razem okleili całą klatkę ulotkami, weszli pod drzwi pracowni z gwoździami i łańcuchami, chcieli je zabić, żebym nie mógł wyjść z pracowni. **(Patrz „NIGDY WIĘCEJ” # 8 – dop. red.)**

Oczywiście, bardzo mnie to poruszyło, że takie smarkacze wychowane na mleku i świeżym chlebie obrażają mnie i moją religię, którą naprawdę bardzo cenię. Byłem wielokrotnie odznaczany za moją ofiarności w obronie Polski. Narażałem życie w walce z faszyzmem,



Leon Chęć – zdjęcie z katalogu wystawy

a teraz jak patrzę na to, co robią ci młodzi ludzie, to przypominają mi się bojówki hitlerowskie. Te same metody. Zupełnie to samo. Skandal! Teraz atakują mnie, a potem kogo? Jak nikt nie powie im STOP, jeśli będziemy milczeć, to za chwilę rozbewstwią się na dobre i będą atakować na ulicy każdego, kto nie pasuje do ich szablonu. Może zechcą założyć obozy koncentracyjne dla takich ludzi jak ja. Gdzie tu wolność, za którą walczyłem na wojnie, gdzie szacunek dla drugiego człowieka? Czy znowu ma wrócić to, w walce z czym narażałem swoje życie? Walczyłem z faszyzmem, czy faszyzm ma wrócić? Stosują wobec mnie te same metody co faszyzm: propaganda, kłamstwa, insynuacja.

Polska jest demokratycznym państwem, którego Konstytucja gwarantuje swoim obywatelom wolność wyznania i sumienia. Oznacza to, że aby być obywatelem Polski, żyjąc normalnie w naszym kraju nie trzeba być osobą o jakiejś określonej orientacji religijnej. Niestety, niektóre ugrupowania są innego zdania. Według nich, Polak to katolik i nikt nie może mieć innych poglądów, wszyscy mają jednakowo myśleć i żyć. Ich fanatyzm jest do tego stopnia skrajny, że nie wahają się atakować starego człowieka tylko dlatego, że nie jest katolikiem, ale Waisznawą (Waisznawa oznacza Wielbiciel Boga).

Ich działanie doprowadziło do tego, że zarządca tej kamienicy chciał mnie wyrzucić z pracowni, w której uprawiam twórczą działalność malarską blisko 40 lat, na bruk. Mimo podeszłego wieku jestem jeszcze wciąż aktywny twórczo i pozbawienie mnie miejsca pracy jest w sumie skazaniem mnie na wegetację w oczekiwaniu śmierci.

Religia, którą wyznaję, ma 5000 lat tradycji. Opiera się na starożytnych pismach wedyjskich. Ma bardzo bogatą historię i tradycję. Pomijając moje wyznanie jestem przykładowym obywatelem Polski. Ale czy polskie prawo określa, że Polak to katolik? Jeśli nie, to ja też jestem Polakiem, nie muszę być katolikiem. Jeśli prawo tego nie określa, to ja jestem OK i mam prawo żyć i działać w tym kraju pełnoprawnie.

Kto ma określać, kto jest Polakiem? Jakie ci ludzie mają pełnomocnictwo, żeby tak twierdzić i wymagać, że Polak to katolik? ■

